

Michał Noszczyk

UNIwersytet śląski

Ja i wynalazek Aleksandra Bella

O tym, co się powtarza, a co się zmieniło

1 Oba cytaty z: C. GEERTZ:
O gatunkach zmąconych. (Nowa konfiguracja myśli społecznej).
Przeł. Z. ŁAPIŃSKI. „Teksty
Drugie” 1990, nr 2, s. 113.

„Pewne prawdy, jak myślę, są oczywiste”. Co więcej, oczywistość niektórych z nich – choćby tej, że „w życiu umysłowym nastąpiło w ostatnich latach niebywałe pomieszenie form gatunkowych i że pomieszenie to nie słabnie”¹ – ma dziś mniej więcej tę samą siłę (w każdym razie nie mniejszą), co jakieś czterdzieści lat temu (nawet jeżeli antropologia interpretatywna jest już zdecydowanie *passé* – tak być przecież może; tego, akurat, nie wiem – a naukowy krajobraz prezentuje się tak, jakby było nie tylko „po strukturalizmie”, ale i „po obiedzie”).

[Być może i za następnych czterdzieści lat prawda o „pomieszeniu” będzie równie oczywista. Jakąś („fizyczną”, logiczną?) granicę mają z pewnością procesy odbywające się w „drugą stronę”: to znaczy krystalizacji, ujednoznaczniania stanowisk czy opisów. Ponieważ jednak większość z tych, którzy jeszcze rzetelnie zajmują się refleksją nad czymkolwiek, jakoś tam w którymś momencie przeczytała Nietzschego (albo o Nietzschem), wie, że teoria Newtona nie zakończyła rozwoju fizyki, zdaje sobie sprawę, że już dawno temu obok logiki klasycznej wyrosły logiki wielowartościowe, modalne, rozmyte, wolne (zupełnie), mało kto próbuje dziś zmierzać w tym kierunku. „Pomieszenie” nie tylko jest faktem, lecz także może być twórcze, owocne. Temu optymizmowi i hipotezie, iż „pomieszeniu nie ma końca”, można jedynie przeciwstawić hipotezę „niespodziewanej katastrofy”, lęk, jaki dochodzi do głosu choćby w słowach Baudrillarda: „nie uda nam się nigdy wyzwolić z paradoksu wolności. Dlatego że nieodwracalny ruch emancypacji można widzieć albo jako rozwój gatunku (w każdym razie to on zapewnia gatunkowi ludzkiemu przewagę nad wszystkimi innymi), albo, przeciwnie, jako katastrofę antropologiczną, zerwanie więzi, szaleńczą deregulację, których celowości nie pojmujemy, lecz które wydają się rozwijać aż ku niedającym się przewidzieć końcowi – którym może być zarówno najwyższe stadium powszechnej inteligencji, jak i całkowita entropia”²].

2 J. BAUDRILLARD: *Pakt jasności. O inteligencji zła*. Przeł. S. KRÓLAK. Warszawa 2005, s. 43.

Geertz, zastanawiając się nad konsekwencjami – choćby w postaci „nowej konfiguracji myśli społecznej” – wykorzystywania, kolejno, „wielkich” analogii „organizmu”, „maszyny”, „gry”, w końcu zaś „tekstu” do rozjaśnienia ludzkich zachowań i ich wytworów, zauwa-

3 C. GEERTZ: *O gatunkach zmąconych...*, s. 121.

4 Ibidem, s. 114.

5 C. GEERTZ: *Available Light: Anthropological Reflections on Philosophical Topics*. Princeton 2000. Polski przekład: *Zastane światło. Antropologiczne refleksje na tematy filozoficzne*. Przeł. i wstęp Z. PUCEK. Kraków 2003.

żał między innymi: „Wraz z przechodzeniem teorii społecznych od metaforyki napędowej (język tłoków) do metaforyki ludycznej (język rozrywek), humanista, zasilając owe teorie swoim obrazowaniem, styka się z nimi nie jako sceptyczny widz, lecz jako współnik, może podsądny”³. Ta prawda, tak sobie myślę, też jest oczywista. Jej poważne traktowanie jak mało co „lokalizuje” wiedzę, faktycznie – a nie tylko na pokaz – ją „osłabia”.

Geertz całkiem słusznie, rzecz jasna, zwracał uwagę na zasadniczą rolę analogii, metafor czy „etykiet”, po które nauka sięga (ogólnie rzecz biorąc, na język, jakim się nauka posługuje) w celu zmiany „sposobu naszego myślenia o myśleniu”⁴. W tytule jednej z ostatnich książek użył rzemieślniczej (z pewnością fotograficznej; malarskiej może?) formuły „światło zastane” (*Available Light*⁵). Jeżeli choć trochę interesujemy się fotografią, tym bardziej zaś jeśli dostrzegamy, robiąc zdjęcia, w tej niby prostej czynności jakiegokolwiek, choćby tylko techniczne, problemy, wówczas wykorzystana przez Geertza fraza dostarcza najlepszego klucza do zrozumienia, jakie możliwości i jakie ograniczenia – w opinii badacza – ma antropologia kulturowa (kto wie, może w ogóle poznanie?).

Ponieważ, całkiem jak Geertz, też gustuję w fotograficznych metaforach, swoje nieśmiałe próby rozjaśniania pewnych rzeczy (choćby tylko na własny użytek) skłonny byłbym nazwać „ujęciami z podwójną ekspozycją”. Od razu gotów jestem przyznać, że to technika mocno anachroniczna: cyfrowym aparatem (tu zaszła zmiana) zdjęcia z podwójną ekspozycją w żaden sposób wykonać się nie da. Można jednak taką podwójną ekspozycję bez najmniejszych trudności później symulować (w Photoshopie, na przykład), czy nawet wyposażyć cyfrowy aparat w tego rodzaju „efekt”, „program specjalny”, dostępny prawie *instant* (w technikach fotografowania mamy zatem jeśli nie powtarzalność, to przynajmniej ciągłość).

Moje „ujęcia z podwójną ekspozycją” dodatkowo charakteryzuje jeszcze to, że zawsze na tym, co próbuję rozjaśnić (ekspozycja pierwsza), naświetla mi się (ekspozycja druga) mniej czy bardziej wyraźny, czasami mocno fragmentaryczny albo wyraźnie zdemolowany, autoportret. Nie chodzi o to, że pierwsze ujęcie wykonuję ze swojego punktu widzenia, że jest „subiektywne” (oczywiście, że jest: w ogóle nie da się zrobić zdjęcia z jakiejś niepartykularnej, niepodmiotowej perspektywy); chodzi o to, że zawsze mi się robią dwa zdjęcia naraz albo jedno w podwójnej ekspozycji.

Nietrudno to objaśnić.

Po pierwsze, prawdopodobnie jestem próżny. Nawet gdyby grzech *hybris* (tak brzmi grecka nazwa tej ułomności) pojawiał się w Dekalogu, niewiele by to, prawdopodobnie, zmieniło. Po wtóre, zastanawiając się (a trochę się zastanawiam) nad nowoczesnymi przemianami nauki, nad jej definitywną (?), w każdym razie

6 Artykuł ten to w niewielkim stopniu zmieniiony, rozszerzony nieco tekst wystąpienia w ramach VII Ogólnopolskich Memetycznych Warsztatów Naukowych, które – pod hasłem *Powtarzalność i zmienność w kulturze i naturze* – odbyły się w Szczyrku w dniach 8–10 marca 2012. Warsztaty organizowane są przez Koło Naukowe Folkloroznawców oraz pracowników naukowych, doktorantów i studentów Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Koło wydaje od lat, pod redakcją Dobrosławy Wężowicz-Ziółkowskiej, pismo „Teksty z Ulicy. Zeszyty memetyczne”. Pełną zawartość numerów 7–14 znaleźć można pod adresem: <http://memetyka.us.edu.pl>.

radykalną, relatywizacją, dochodzę do wniosku, że – jeśli w niej (w nauce) w ogóle jeszcze o jakieś dążenie do prawdy może chodzić – to mamy, co najwyżej, szansę dogrzebać się do jakiejś prawdy personalnej, jednostkowej, osobistej, w której „ja” czy „my” znaczy dokładnie to, co znaczy: pierwszą osobę (liczby pojedynczej albo mnogiej; ale nie uniwersalnej, bo takiej gramatyka, przynajmniej naszego, polskiego języka, nie zna). Tę samą strategię – mówienia przede wszystkim o sobie, jeśli nie tylko o sobie – staram się wdrażać (i to z większym uporem niż różne inne popularne projekty czy programy) także w innych tekstach, jakie piszę: w referatach nie na Warsztaty⁶ i nie do „Zeszytów...”, w skryptach (tych do własnego użytku) wykładów czy ćwiczeń ze studentami, w recenzjach z różnych literackich (bo ja literaturoznawcą jestem) i nieliterackich książek. Próbuję ją (tę strategię osobistych zainteresowań) – z różnym skutkiem i od dłuższego czasu – realizować w tym, co określa się terminem literackiej fikcji (znaną deklarację Virginii Woolf „I prefer, where truth is important, to write fiction” uznając za maksymę własną). To mówienie o sobie do osób, których się nie zna albo które zna się słabo – a taka jest relacja między mówiącym publicznie a słuchaczami, taka relacja nauczyciel – student, taka autor – czytelnik – ma dodatkową zaletę: do osób, z którymi się nie jest blisko, w pewnym sensie (jeśli nam na prawdzie naprawdę zależy) mówić łatwiej. Zwłaszcza gdy chodzi o rzeczy umiarkowanie ważne (a tylko takimi, w moim przekonaniu, nauka dzisiaj jest gotowa i zdolna się zajmować); takie jak memetyka czy telefon. Dla tego zajmę się telefonem; no i, rzecz jasna, sobą.

Jeśli dusza Aleksandra Bella ma okazję skądś, jakimś cudem (czego jednak wykluczyć zupełnie nie można) śledzić to, co mam do powiedzenia, to wypełni ją, być może, gorycz i oburzenie. Niesłusznie. Nie powątpiewam ani trochę, że – wykorzystując przewody telegraficzne do przesyłania głosu tak, żeby ten, kto do nas mówi i do kogo my gadamy, wydawał się znajdować tuż obok, jak żywy, właściwie na wyciągnięcie ręki (nawet jeżeli znajduje się daleko, dziesiątki czy setki mil albo kilometrów) – Bell chciał przyczynić się do ułatwienia komunikacji między ludźmi i do niczego więcej. Nawet jeżeli liczył, że – przy okazji – zarobi dzięki temu parę dolarów, nie rzuca to cienia na jego epokowy wynalazek.

To, że – również przy okazji – wynalazł jedno z najbardziej wyrafinowanych nowoczesnych narzędzi tortur, zaczęło do mnie docierać już pod koniec lat siedemdziesiątych (ubiegłego wieku).

Studiowałem wtedy w Krakowie. Musiałem jednak czasami zadzwonić do Łodzi, do Wrocławia, do Sosnowca (w Sosnowcu mieszkali moi rodzice i młodsza siostra), w każdym razie dokądś, dokąd wcale nie było łatwiej – zamiast telefonować – dotrzeć piechotą albo tramwajem. W tym celu – żeby ustanowić niezbędną

do aktu komunikacji językowej więź fizyczną (bo potencjalna nie wchodziła w rachubę; potrzebowałem skomunikować się już, niezwłocznie) – udawałem się na skrzyżowanie Westerplatte, Starowiślnej i Wielopola. Po jednej stronie (przy Wielopolu) znajdował się budynek Poczty Głównej (stoi do dzisiaj, jest w nim Poczta Główna; tu żadnej zmiany). Naprzeciw, pod arkadami narożnej kamienicy na Starowiślnej, było sześć, jeśli mnie pamięć nie myli, wrzutowych automatów telefonicznych. Nawet jeśli żaden z tych automatów nie działał (co się zdarzało, bynajmniej nie rzadko), można było wejść na pocztę i tam skorzystać z innego (tyle że w budynku Poczty nie można było palić, już wtedy). Jeśli i tam wszystkie były niesprawne (bywały i takie, powszechne, awarie; tu i tam; jednocześnie), zamawiało się rozmowę u telefonistki. Jako że ta poczta pracowała całą dobę, można było czekać aż do rana. I czasami czekało się. Bo centrale miały bardzo ograniczoną pojemność; centrale, tak jak automaty, też nie działały perfekcyjnie.

Przez pewien czas na róg Starowiślnej przychodziło się jeszcze z jednego powodu, zwłaszcza gdy chciało się pogadać naprawdę długo, obojętne, na tematy filozoficzne czy bardziej od serca. Przez prawie rok jeden z automatów (do niego zawsze była kolejka) działał z drobną usterką: wystarczyło wrzucić tylko złotówkę i można było rozmawiać do woli, bez ograniczeń, tyle że (na tym, poza wyjątkową wstrzemięźliwością w domaganiu się monet, polegała awaria) trzeba było mówić do słuchawki, a nie do mikrofonu; słuchawka, nie przestając być słuchawką, spełniała jednocześnie funkcję mikrofonu; takie socjalistyczne „dwa w jednym”; dlatego trudno było używać tego aparatu na przykład do miłosnych kłótni.

Można powiedzieć, że naszkicowane kłopoty z użytkowaniem telefonu z wynalazkiem Bella nie miały wiele wspólnego; że wynikały tylko z technologicznej nędzy PRL; i że mamy (tę) nędzę – tak jak PRL – na szczęście za sobą. Można tak powiedzieć i to będzie prawda. I świadectwo (z naukowymi, w każdym razie z empirycznymi, dowodami), że są jakieś zmiany. Że jest postęp.

W 1986 roku wyjechałem pierwszy raz na Zachód, do Holandii. Datę pamiętam tak dokładnie, bo to był rok katastrofy w Czarnobylu. Do Holandii – regularnie, co najmniej na kilka miesięcy – jeździłem jeszcze przez parę lat następnych. To były wyjazdy nie w celach turystycznych i nie na studia (a w Holandii zawsze można było studiować różne interesujące rzeczy), tylko do pracy; rzecz jasna, nie naukowej. Wiązałem tam tulipany w bukiety po 10 sztuk, preparowałem (ręcznie, z pomocą odpowiedniego kozika) cebule hiacyntów, modyfikując nieco ich naturalny rozwój, itp. Trafiłem nawet dwa razy (ale to nie ma nic do rzeczy) do holenderskich mediów. Z prac ręcznych w Holandii najlepiej zapamiętałem wyrywanie/wyciąganie narcyzów. Na jednym niedużym polu (bo to,

akurat, była praca polowa; przełom marca i kwietnia; holenderska pogoda; z jednej strony blisko, jak to w Holandii, kanał, z drugiej, w dość sporej odległości, tak że się nie słyszało nawet szumu aut, autostrada Amsterdam – Haga) w ciągu niecałych czterech tygodni wyrwałem, i zebrałem na miejscu w pęczki po dziesięć, parę milionów żonkili. Dokonałem tam też dość ważnego wyboru (taka praca daje wiele czasu do myślenia), zarobiłem całkiem sporo pieniędzy (rzadko kiedy później, nawet przy wyjątkowo dobrych zleceniach, zarabiałem tak szybko, tak dużo, przy tak niskich nakładach własnych). Inna sprawa, że na długie tygodnie bardzo pokaleczyłem sobie opuszki palców; wszystkich; u obu rąk (można było pracować w gumowych rękawiczkach, ale z tego medium nie korzystałem; to już nie było to samo; dramatycznie obniżała się jakość i wydajność pracy; technologiczne innowacje miewają i takie skutki). Pamięć tamtego bólu, bardzo szczególna pamięć, jest we mnie do dziś i wcale o niej zapomnieć nie chcę. Przez długie lata miałem tylko bardzo prywatne marzenie, żeby znowu kiedyś przydarzyła mi się taka nadwrażliwość palców, do bólu nadwrażliwość (no, i żeby była „w drugą stronę”). Chyba nawet tego marzenia nadal nie porzuciłem.

W Holandii byłem sam. Byłem (ciągle jeszcze) dość młodym mężem i ojcem, ale żona i dzieci zostawały, rzecz jasna, w Polsce, w „tym kraju” (coraz bardziej dochodzę do przekonania, że Polska to jest ciągle „ten kraj”; nawet jeśli „bardzo wiele musiało się zmienić...”). Mieliśmy już od kilku lat własne mieszkanie, ale (mimo starań) nie mieliśmy w nim telefonu. Chciałem i starałem się często dzwonić z Holandii do Sosnowca. W Holandii nie było żadnego problemu ze znalezieniem (sprawnej) budki telefonicznej (jeżeli tych automatów nie zlikwidowano, to w kilku miastach i miasteczkach – w Amsterdamie, Harlemie, Lisse, Nordwijku – pewnie znalazłbym je bez trudu i dzisiaj; może nawet z zamkniętymi oczyma).

Na te, umawiane, rozmowy żona czy dzieci czekały u matki (w mieszkaniu rodziców telefon był od lat siedemdziesiątych; chociaż ojciec też musiał złożyć więcej niż kilka podań). Zdarzało się, że – z różnych powodów – do takiej umówionej rozmowy nie dochodziło; ja nie dzwoniłem albo nikt nie czekał. Oczywiście, nawet jeżeli zrządził to tylko przypadek, że zadzwonić nie mogłem albo że nikt nie odbierał telefonu po drugiej stronie, nigdy, dla tych, którzy się umawiali, nie było to przyjemne. Czasami zresztą „kierunek” do Polski był wyłączony – nie mam pojęcia, czy takie sytuacje dostarczały jakiejś frajdy władzom (naszym, oczywiście); czasami „kierunki” lokalne tak przez dzwoniących z zagranicy rodaków obciążone, że nie dało się ustanowić połączenia.

Nie było przyjemne też to, że – przynajmniej w 1986, może nawet aż po 1989 rok – każdą taką rozmowę poprzedzał (polski) komu-

nikat, iż będzie ona kontrolowana. Z jednej strony jeśli nawet był to tylko pic na wodę (ten komunikat; filmy Barei są bardziej realistyczne niż się może wydawać), to co najmniej wkurzało mnie to, że słów, które do siebie kierują bardzo bliskie osoby, może słuchać ktoś trzeci, o kim ci bliscy nie mają nawet najbardziej bladego pojęcia. Z drugiej strony mógłby ktoś powiedzieć (i miałby rację): przynajmniej było się uczciwie poinformowanym o podsłuchu. Dziś, w czasach, kiedy terabajtowe dyski są nawet w naszym zasięgu (nas tu, w Szczyrku, obecnych mam na myśli, a nie tylko rozwijające się dynamicznie gospodarki Ojczyzny i Europy), na macierzach dyskowych operatorów mogą być dla ich (operatorów; i nie tylko operatorów) użytku rejestrowane zarówno billingi, jak i same połączenia; każda sekunda tych połączeń, dosłownie; każda sekunda wszystkich połączeń nie tylko aktualnie, w czasie rzeczywistym, lecz także – przez tygodnie? miesiące? lata? – w czasie „zarchiwizowanym”. Skoro mogą być rejestrowane, to – zapewne – są (no właśnie... to się zmieniło? czy pod względem podsłuchiwania nie ma żadnej zmiany? a może i tu dokonał się postęp?).

[Paul Levinson (uczeń i współpracownik McLuhana) w dość obszernym – dedykowanym *nota bene* pamięci Neila Postmana – hymnie pochwalnym pod adresem najnowszego elektronicznego medium⁷ pisze: „Kiedy wywędrowaliśmy z Afryki, a w trakcie tej wędrówki rozmawialiśmy na jej temat, zaczął się nasz powolny, ale konsekwentny marsz ku telefonowi komórkowemu. Inteligencja i zmysł wynalazczy, w połączeniu z potrzebą komunikowania się w dowolnym miejscu, doprowadziły w końcu do tego, że w naszych kieszeniach znalazły się przenośne telefony” (s. 35). Dzieło Levinsona należy do literatury popularnej, w każdym razie popularyzatorskiej (choć jego autor zapewne skrzywiłby się na tego rodzaju etykiety), ale w żaden sposób nie umniejsza to mojego podziwu dla umysłu, który potrafi odstąpić przebiegłość ewolucji, połączyć to z technologicznym i uniwersalnym optymizmem, całość zaś uzgodnić z wizją świata funkcjonującego ponad (przynajmniej rasowymi) podziałami. Kiedyś obawiałem się, że wynalazek telefonu – jak wiele innych wynalazków – spróbuje Bellowi odebrać Sowietci. Dziś już mogę spać spokojnie: nawet jeśli żyjemy w „cyfrowo podzielonym świecie”, a telefony czasami „wyruszają na wojnę” (o czym Levinson pisze w swojej książce), to przyszłość z pewnością potrafi się z tym uporać. Za rozwój mediów nie jest bowiem odpowiedzialny ani Bell, ani Rosjanie; zarządza tym rozwojem – obiektywnie – mechanizm ewolucji. A ten prowadzi nas (jak ów długi marsz z Afryki) nieubłagane ku lepszemu. Podsłuchiwanie zostanie ewolucyjnie przewyciężone, albo też – nawet jeśli jeszcze nie jesteśmy tego świadomi – ewolucji (gatunku i mediów) dobrze służy.

7 P. LEVINSON: *Telefon komórkowy. Jak zmienił świat najbardziej mobilny ze środków komunikacji*. Przeł. H. JANKOWSKA. Wstęp T. GOBAN-KLAS. Warszawa 2006.

Jak powiedziałem chwilę wcześniej, w domu rodziców telefon (rzecz jasna, „na drucie”) był od lat siedemdziesiątych. Moja matka, która zmarła kilka lat temu, telefonu komórkowego zaczęła używać dopiero dwa, trzy lata przed śmiercią; i to właściwie tylko wtedy, kiedy ze swoją siostrą albo z którąś z koleżanek wyjeżdżała na wakacje albo kiedy przebywała w szpitalu (matka długie miesiące, może nawet – w sumie – kilka lat swojego życia spędziła w różnych szpitalach). Bez przerwy telefon komórkowy miała z sobą w szpitalu ostatnim, przez mniej więcej miesiąc. Nie każdego dnia odwiedzałem matkę (szpital był w Częstochowie), ale czasami nawet kilka razy w ciągu dnia do niej dzwoniłem. Nigdy nie mogłem mieć pewności, dlaczego nie odbiera telefonu. Rozłądował się? Matka śpi? Jest zbyt zmęczona? A przecież telefon komórkowy można odebrać zawsze i wszędzie.

W Amsterdamie, niedaleko dworca głównego, blisko placu Damm, prawie że u wejścia do czerwonej dzielnicy, znajduje się Muzeum Narzędzi Tortur (informacja o lokalizacji jest nie bez znaczenia; prawie każdego dnia stopnie prowadzące do awaryjnego, otwieranego pewnie tylko od wewnątrz, wejścia zaśmieczone są dziesiątkami, setkami strzykawek porzuconych przez narkomanów; strzykawki widzi się nie tylko na tych schodach, ale właściwie wszędzie pod murami całego budynku). Ciekawe, czy elementem ekspozycji w tym Muzeum (tam nigdy nie byłem) jest jakiś telefon mobilny? Jaki? Siemens? Alcatel? Nokia? Samsung? A może od producenta, którego aparatu nigdy nie miałem w dłoni? Bo jakież strzykawki to już muszą być, tak uważam, elementami tego rodzaju muzealnej ekspozycji.

Kiedy umarł mój ojciec (dawno temu; jeszcze nawet w USA nie używano telefonów mobilnych; ojciec miał wtedy mniej więcej tyle lat, ile ja dzisiaj – 57), przyszedł do nas – zaraz następnego dnia – blisko dziewięćdziesięcioletni pradziadek (z linii mojej matki) i powiedział, kiedy mu pomagałem zdjąć płaszcz (dość ciężką pelisę): „- Nie mógł Pan Bóg zabrać mnie, a nie Gienka?”. Nie muszę dodawać, że pradziadek nie powiedział tego przez telefon; pradziadek nigdy nie miał żadnego telefonu. Pradziadek drugą połowę swojego długiego życia spędził w Sosnowcu, więc pewnie umiałby skorzystać z wynalazku Bella. Pradziadek był naprawdę prostym człowiekiem, więc mogłoby się jednak okazać, że nie umiałby. Wstyd powiedzieć, ale nawet nie wiem, jak (z dziadkiem i z telefonem) było faktycznie. Wstydę się nie za pradiadka, tylko za swoją (na jego temat) niewiedzę. Ale nie wątpię, ani przez chwilę nie wątpiłem, w szczerość wypowiedzianych wtedy słów („Nie mógł Pan Bóg...”), tym bardziej że pradiadek był szczerze, fundamentalnie właściwie, bogobojny.

O śmierci ojca dowiedzieliśmy się przez telefon. Ani mnie, ani matki, ani siostry nie było przy ojcu w szpitalu w chwili, kiedy umie-

rał; wróciliśmy stamtąd kilka godzin wcześniej. Bardzo możliwe, że nikogo, kiedy definitywnie odchodził, nie było przy jego łóżku.

Również przez telefon siostra powiedziała mi o śmierci matki. Dwie godziny wcześniej siostra wróciła ze szpitala; miała zajrzeć do mamy nad ranem (siostra jest lekarką, więc nikt nie utrudniałby jej planowanych na rano odwiedzin), bo wiadomo było, że stan jest bardzo ciężki, ale agonia mogła potrwać kilka godzin albo kilka tygodni (tego nie potrafią precyzyjnie orzec nawet lekarze; nie mówią o tym, że zawsze może się zdarzyć cud).

Właściwie, jak się nad tym zastanawiam, to o wszystkich ważnych w moim życiu zgonach (bo, jakkolwiekby to zabrzmiało, śmierci Laureatów czy Prominentów, czy Idoli, jakiego bądź rodzaju, są zdecydowanie mniej ważne) dowiadywałem się przez telefon. Co najmniej dwa razy po takich telefonach musiałem powiadamiać (już nie telefonicznie) o śmierci najbliższej osoby kogoś, komu zmarły był jeszcze bliższy niż mnie i dla kogo był jeszcze ważniejszy niż dla mnie. Telefon wiele rzeczy ułatwiał i ułatwia, ale nie do końca (tak było zawsze; tu się nic nie zmieniło); właściwie to nie mam pewności, czy telefon, jeśli chodzi o pewne rzeczy, ułatwia cokolwiek.

Teraz telefon można odebrać wszędzie, w miejscach i w sytuacjach, które Bellowi (także mnie, póki nie zacząłem używać telefonów mobilnych) nie przyszyłyby do głowy (to jest zmiana): w łóżku (to było możliwe i dawniej, ale – dawniej – z tego łóżka czasami trzeba było przynajmniej się podnieść); pod prysznicem (sprzedają już kabiny prysznicowe z interfejsem do odbioru komórki); za kierownicą auta (wiem, że to jest zabronione, ale niewielu z nas robi tylko to, co robić wolno); na długim samotnym spacerze (na który zabieramy siebie, żeby nabrać do czegoś dystansu; tyle że zapomniało nam się zostawić komórkę w domu albo przynajmniej ją wyłączyć).

Teraz z każdego miejsca możemy rozmawiać tak, jakbyśmy byli w każdym innym miejscu (i tylko, jeśli ma to jakieś znaczenie, operatorzy telefonii komórkowej albo służby są w stanie ustalić, skąd dzwonimy albo gdzie się do nas dzwoni; do tej zmiany można by nawet zastosować formułę Carvera: „tam, skąd dzwonię”⁸). W tym gdziekolwiek i skądkolwiek musimy być przygotowani także na bardzo szczególne telefony (nie tylko na te telefoniczne powiadomienia o śmierci).

Zawsze (w czasach Bella i teraz; tu żadnej zmiany) mogliśmy i możemy nie odebrać telefonu (teraz łatwiej, bo zazwyczaj wyświetla nam się „dzwoniący” numer). Albo wybrać połączenie z kimś i, kiedy się zgłosi rozmówca, nie powiedzieć ani słowa. Jedno i drugie może być, najoczywistszą, manifestacją naszej wolności (bo nadal, w pewien sposób, jesteśmy wolni) albo pospolitą niegrzecznością, albo niespecjalnie wyrafinowaną – ale zawsze – torturą.

8 Tytuł opowiadania z tomu R. CARVERA: *Katedra*. Przeł. J. JARNIEWICZ. Warszawa 2010.

Dzięki tym cudownym zmianom, dzięki całemu temu – obiektywnemu – postępowi ludzie nie stali się ani odrobinę lepsi, mniej nikiemni, chyba nawet nie są mądrzejsi (a to by był już jakiś, prawdziwy, postęp; kiedy używam słowa „ludzie”, mam na myśli, może nieco zarozumiałe, także siebie). Właściwie mógłbym zacytować, bardzo często w ostatnim czasie używane przeze mnie, nie moje zdanie, taki – zarazem uniwersalny i głęboko osobisty (tylko że cudzymi słowami) – komentarz do przemian, które miały miejsce w ostatnich dwu, trzech dekadach nie tylko u nas, komentarz do tego, co się zmieniło, a co pozostało bez zmian, w nas zwłaszcza, ale też w polityce, obyczajowości, etyce i organizacji społecznej, na przykład, w organizacji publicznych zamówień choćby, czy – choćby – w organizacji nauki: „Bardzo wiele musiało się zmienić, żeby nic się nie zmieniło”.

Czasami pocieszam się powiedzeniem (chyba?) Jonathana Swifta: „Nienawidzę ludzi. Kocham za to Jana, Piotra, Pawła”. Mam odwagę głośno wypowiedzieć tę maksymę, nie dlatego, że „pedał”, a teraz (tu mamy zmianę) przynależność do mniejszości seksualnych przestała być powodem do wstydu, może nawet nastała moda na (nie tylko późne) *coming outy*. Biskup Dublina ani nie kontestował obyczajowej obłudy, ani nie kombinował, że skandal – tak czy inaczej – może mu się opłacić; całkiem co innego miał na myśli.

Słowa Swifta lubię z oczywistego powodu. Wyrażają wiarę w miłość konkretnego, pojedynczego człowieka do innej konkretnej, pojedynczej osoby; tylko tyle; nie w postęp czy w oświecenie, czy – nawet – w ludzi. Może właśnie ze względu na to umiarkowanie przemawiają do mnie jako manifestacja niepoprawnego (niezmiennego; bo są rzeczy, które się zmieniają, i takie, co się nie zmieniają; nie ma siły) optymizmu. Swift pisał:

It's All About Love by Thomas Vinterberg 2003 (*To wszystko jest o miłości*); *What We Talk About When We Talk About Love* by Raymond Carver 1981 (*O czym mówimy, kiedy mówimy o miłości?*); *All You Need Is Love* by Lennon, McCartney 1967 (*Miłość to wszystko, czego potrzebujesz*). Prawdopodobnie tak: miłość jest jedyną rzeczą, której (naprawdę) potrzebujemy. I dlatego, o czym byśmy nie mówili, mówimy o miłości. I dlatego, kiedy mówimy o miłości, mówimy o tylu rzeczach naraz (które z miłością nie mają nic wspólnego, które „o miłość nawet nie zahaczają”⁹). Pewnie, że warto słuchać Beatlesów. Pewnie, że warto czytać Carvera, który opowiada o tym, jak bardzo miłość jest (bez)użyteczna, jak bardzo (nie) jest potrzebna (nikomu).

9 „Oczywiście, że nie ma miłości. / Nie ma i nigdy nie było. / Nawet to, cośmy robili / w żadnym calu nie zahacza / o miłość”. M. ŚWIETLICKI: 79. W: IDEM: *Wiersze wyprane*. Legnica 2002, s. 46.

Oczywiście, pomyliło mi się. To nie jest cytat z *Podróży do wielu odległych narodów świata. W czterech częściach. Przez Lemuela Gul-*

10 Tak brzmi tytuł dzieła Swifta w przekładzie Macieja Słomczyńskiego (Kraków 1979).

livera, początkowo lekarza okrętowego, a następnie kapitana licznych okrętów¹⁰; to nawet nie jest cytat ze Swifta. Tak kończyłem, tym, co zacytowałem powyżej, recenzję tomu opowiadań Raymonda Carvera *Katedra*. Recenzja wisiała przez jakieś pół roku w Internecie. Wisiała nawet w dwu miejscach, bo ktoś wziął ją z pierwszego miejsca i powiesił – również w całości, tyle że bez mojego nazwiska – jeszcze na portalu społecznościowym uzależnionych, bardzo profesjonalnie redagowanym, więc zapewne z jakichś tłustych unijnych grantów (na pomocowych portalach nie wypada zarabiać, ale trudno też robić je za friko). Ponieważ nie bardzo mi się podobało, że ta recenzja wisi całkiem bez nazwiska tego, kto ją popełnił, za karę (że mi się nie podobało) ktoś zdjął ją z portalu uzależnionych, a inny Ktoś (z tego samego powodu) z tego miejsca, gdzie wisiała najpierw.

O Ktosiu napisałem wiersz; jeden z cyklu *Schody. 23 wiersze nie o miłości*. Ten wiersz jest nawet bardziej o telefonie niż o Ktosiu. To w gruncie rzeczy taki głęboko liryczny – myślę, że można tak powiedzieć – protoreferat. Dołożę starań, żeby ten cykl opublikować. Zapowiadam to tak samo poważnie, jak kilka lat temu, tu, w Szczyrku, całkiem poważnie (na zakończenie czegoś, co miało tytuł *Jak wygląda muzyka? Kilka uwag na marginesie „True Blue” Tina Brooksa*¹¹) deklarowałem, że napiszę moją własną historię jazzu. Wcale nie porzuciłem tamtego pomysłu. Tu nic się nie zmieniło.

11 „Teksty z Ulicy. Zeszyt memetyczny” 2007, nr 11.

Wszystkie pomyłki (także ta z cytatem ze Swifta) są freudowskie. Jeden z tekstów Carverowskiej *Katedry* nosi tytuł *Tam, skąd dzwonię*. Jest to jedno z dwu opowiadań (zbiór liczy ich dwanaście), z których coś cytowałem w tej swojej, fatalnej, recenzji. Telefon stanowi jeden z głównych rekwizytów *Z Leśmiana*, krótkiego opowiadania, które zamierzałem Państwu przeczytać (w każdym razie miałem zamiar złożyć taką propozycję), gdybym się nie wyrobił z referatem, który właśnie powoli kończę. *Z Leśmiana* ma tylko jedną, bezimienną, bohaterkę, w zamiarach autora bowiem odślania kobiecą stronę jego duszy. Niedługo minie rok, jak napisałem *Z Leśmiana*, ale byliby Państwo – najprawdopodobniej – jego pierwszymi odbiorcami. Powiedziałem „najprawdopodobniej”, ponieważ w tym naszym świecie, w którym komunikacja tak się niby ułatwiła (telefony mobilne, poczta elektroniczna, *hotspoty*, Internet w telefonie itd.), nikt już na nic właściwie nie odpowiada (chyba że ma taki k a p r y s albo że – służbowo czy z powodów pieniężnych – a b s o l u t n i e m u s i). W tym naszym świecie niespełnieni naukowcy czy pisarze łatwo nie mają, ale taki na przykład hrabia Zygmunt Krasiński to by się chyba w tym świecie wziął i pociął (Krasiński nie używał jeszcze w ogóle telefonu; tamten świat, Krasińskiego, to był jeszcze świat sprzed większości znaczących nowoczesnych wynalazków; może jednak Krasiński coś przeczuwał i może nawet

Nie-boska... jest trochę o wynajdywaniu pewnych nowoczesnych urządzeń i nowoczesnych rozwiązań, nie tylko o wierności sprawom przegranym).

Wiersz, opowiadanie, kulturoznawczy (?) dyskurs – wszystko mi się miesza; także wokół same gatunki zmieszane; wokół coraz więcej rzeczy typu „wiele w jednej”. Labilność form (czegoś całkiem innego niż to, w co wierzyli Platon, Blake, Lukacs...); labilność struktur (a one – jeśli diagnoza „po strukturalizmie” jest formułą nieco przedwczesną – być może samosterowne, co rzecz jeszcze dodatkowo komplikuje); hybrydowość urządzeń; hybrydowość nas samych.

Całe lata telefonu (także komórkowego) używałem tylko w jednym celu: do prowadzenia rozmów. Stosunkowo późno przemogłem się do pisania SMS-ów. Nadal nie przychodzi mi do głowy (no, bardzo rzadko), żeby robić telefonem zdjęcia. Przez dwa dni (w sumie; w życiu) słuchałem z telefonu muzyki (a muzyki słucham bardzo dużo; przez te dwa dni słuchałem głównie Lemonheads; całkiem ładnych piosenek). Ani nie używam go jako wibratora, ani nie próbuję się nim golić (kilka lat temu na ćwiczeniach ze studentami wpadłem na taki żartobliwy pomysł: a może by opatentować telefon z maszynką do golenia? podobny kształt, podobne gabaryty; po tygodniu jeden ze studentów poinformował mnie, gdzie i za ile jenów można kupić taki gadżet). Ale nabywając telefon, którego aktualnie używam, wybrałem – całkiem świadomie – model z rozsuwaną klawiaturą QWERTY; bo dużo notuję, dużo piszę. Ponieważ czasami różne pomysły (literackie) przychodzą mi do głowy w sytuacjach, w których na telefonie pisać się nie da (na przykład kiedy prowadzę auto albo siedzę na schodach), zacząłem w moim samsungu używać dyktafonu (bo mój samsung ma dyktafon; także wiele innych aplikacji, z których nie zrobiłem i, zapewne, nie zrobię użytku). W ten sposób napisałem swoje pierwsze *Wiersze na telefon komórkowy*; a później całe, duże fragmenty prozy, recenzji, esejów (bo to, co piszę, obojętnie, w jakiej formie, najpierw mi się mówi). Teraz to już nawet chyba więcej mówię do telefonu niż rozmawiam przez telefon (i tu, zdaje się, zaszła zmiana).

Kiedyś, dokładnie w tych samym czasie, kiedy biegałem na skrzyżowanie Starowiślnej i Wielopola (żeby zadzwonić), mocno śmieszyl mnie kolega filmoznawca, który przychodził do kina w specjalnych okularach z lampką, żeby w trakcie seansu móc robić notatki. Mnie się to wydawało śmieszne, bo do kina chodziłem bardzo często, ale (najczęściej) po to tylko, żeby oglądać filmy. Niemniej kolega został wziętym krytykiem filmowym. Dziś (rzecz jasna, nie w tej chwili) gadam do niepołączonej z żadnym odbiorcą komórki. Muszę przyznać, że czuję się w takich chwilach mocno śmiesznie, choć wiem, że przemawiam do dyktafonu. I nic nie zmienia fakt, iż to jest śmieszność sam na sam, bez świadków.

Widzę przecież, że ja sam stałem się trochę jak telefon mobilny (może zawsze taki byłem?). Z tym referatem nosiłem się jak z telefonem komórkowym (nawet nie to mam na myśli, że nosiłem się – z myślą o referacie – długo; tylko że nosiłem się wszędzie). Nawet kiedy w miniony wtorek wracałem z zajęć do domu zdecydowanie wcześniej, pewien dziekan bowiem, spec od przemian nowoczesnej świadomości i egzystencjalizmu, powiedział do portiera „– Panu doktorowi Noszczykowi proszę nie wydawać klucza”, to – choć moje emocje były ciągle zajęte tym, co usłyszałem – jakimś fragmentem siebie myślałem o pewnym fragmencie tego tekstu. Pisał się ten referat we mnie, w ruchu. Tak jak ze mną, w ruchu (mojego ciała, w ruchu ulicznym itp., itd.) był mój telefon komórkowy: jego liczne użyteczne aplikacje, obszerna książka telefoniczna, cała przenośna pamięć.

Media, których używamy, zmieniają nas dogłębnie. Wyjątkowo dobitnie pierwszy podkreślał to autor *Mechanicznej narzeczonej*. To właściwie my jesteśmy przez nie (przez media) używani (i z-używani; przez narzeczone/narzeczonej również).

[Swoją drogą, myślę sobie, że świat *Mechanicznej narzeczonej* – świat, w którym ludzie powszechnie i bezwolnie dostosowują zachowania (pragnienia także) do wzorców narzucanych przez kulturę popularną, zwłaszcza przez wielkonakładową prasę i reklamę, które to procesy, i ich postępującą internalizację, McLuhan analizował w *The Mechanical Bride: Folklore of Industrial Man* (New York 1951) – i świat *Mechanicznej pomarańczy* – świat pełnego brutalności i ostentacyjnej dezynwoltury kontestowania społecznych standardów i norm, opisany w *A Clockwork Orange* (1962) Anthony’ego Burgessa, przedstawiony na szerokim ekranie przez Stanleya Kubricka w 1971 roku – to jest dokładnie ten sam świat, a nie, jak na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, dwa całkiem różne światy].

To, że – jakby coraz częściej – zaczynamy się sobie mylić z urządzeniami, które obsługujemy i przez które jesteśmy obsługiwani, ma, rzecz jasna, swoje przyczyny historyczne: wynika z rosnącą (bo przecież „nasze życie rośnie”¹²) inwazji techniki w ludzką i międzyludzką przestrzeń, z postępującej abdykacji człowieczeństwa na rzecz maszyn, procesów, aparatów, technologii¹³... Albo też – bo trzeba brać pod uwagę i taką możliwość – historyczna jest tylko szczególna postać (w technikę, w gadżet) tej ucieczki od siebie? od innego? od wolności? Może to – jednak – „szata czyni człowieka”, albo urząd, albo totem (jak już bywało; i tu żadnej zmiany)?

Trzeźwa świadomość jakiejś tam przedmiotowości (?), funkcjonalności (?) naszej własnej osoby może skutkować zresztą nie tylko poczuciem degradacji. „Dwa kraje, cztery dekady, [ale] jeden antropolog”. Podstawowym, pierwszym urządzeniem badawczym antropologii nie jest ani magnetofon, ani aparat fotograficzny,

12 Wśród licznych (nie tylko PRL-owskich) symptomów niepostrzeżonego wzrostu Ryszard Krynicki nie wymienia – przyznać muszę – postępów w telekomunikacji.

13 Ową historycznością tłumaczyć chyba można to, że relacja człowiek – technika przedmiotem filozoficznego niepokoju stała się stosunkowo późno (dopiero w myśli Heideggera?).

nawet nie skrupulatnie przygotowany kwestionariusz, lecz sam kulturoznawca. Wywożąc siebie na Bali, antropolog siebie (bardzo szczególnie skalibrowany instrument) konfrontuje z kulturą, którą (także sobie) chciałby nieco rozjaśnić. Jeżeli wraca z takich wojaży po świecie bardziej samoświadomy, niekoniecznie zaś bogatszy o wiedzę systemową czy nawet „mocną” wiedzę o „obcych”, to i tak wcale nie musi oznaczać poznawczej porażki. Mimo iż jesteśmy samym sobie najbliżsi, też potrzebujemy interpretacji, autolektury; im bardziej na inne (zwłaszcza egzotyczne) światy się otwieramy, im więcej absorbujemy czy inkorporujemy techniki i technologii, tym bardziej konieczność samoobjaśniania rośnie. Myślę, że tego rodzaju świadomość dobitnie dochodzi do głosu w antropologii Geertza, może nawet to jej *diferentia specifica*...?

Żaden ze mnie antropolog (trochę, może, literaturoznawca). Po świecie właściwie w ogóle nie jeździłem (do Holandii – tak jak „po pijaku” – się nie liczy, bo za chlebem). Nawet turystykę uprawiam z niewielkim rozmachem. Z Sosnowca wywożę siebie najczęściej do Katowic, rzadko gdzieś dalej niż – powiedzmy – pod Tarnowskie Góry. Rzadko są to wycieczki w święto, w rytuał, w obrzęd; najczęściej w sprawy zwyczajne, w życie codzienne¹⁴. Jeżeli w tych peregrynacjach (bynajmniej nie na pokładach „licznych okrętów”) zdarza mi się jako antropologowi (przepraszam: „jako autorowi”) na chwilę spokojnie przysiąść i oddać zamyśleniu, to nie pod palmą; co najwyżej na jakichś schodach; i bez naukowych pretensji; co najwyżej – z telefonem.

Tak to ze mną jest (jednak całkiem inaczej niż z Geertzem; nie ma sensu, zwłaszcza „po fakcie”¹⁵, z tym dyskutować). Gdybym powiedział: kocham siebie takiego, jakim mnie Pan Bóg uczynił albo jakim sam siebie uczyniłem, bardzo bym skłamał. Gdybym powiedział: kocham siebie takiego, jakim uczynił mnie mój telefon, byłoby to jeszcze większe kłamstwo. Ale jeszcze mniej wspólnego z prawdą miałyby wyznanie, że kocham swoją komórkę albo że kocham Lecha (jasne piwo, względnie klub piłkarski; co kto woli). Póki co, wolę używać słów tak, jak to robiłem przez lata (choć wyuczyłem się całkiem sporej ilości nowych, użytecznych, słówek), do tego, do czego przez lata mi służyły (tu, zdaje się, zmiany nie ma).

Zacząłem rozważania od deklaracji wiary w to, że pewne prawdy są oczywiste. Może zatem

wyprostuj się osusz tampon języka
wyjdź z tego kokonu rozgarnij te błony
zaczepnij najgłębsze warstwy powietrza
i powoli pamiętając o regułach składni
powiedz prawdę do tego służysz w lewej ręce
trzymasz miłość a w prawej nienawiść¹⁶

14 Rocha Sulimy *Antropologia codzienności* (Kraków 2000) wydaje mi się – mimo że nie antropolog – może najbardziej efektywną i najbardziej inspirującą polską książką humanistyczną ostatnich lat.

15 C. GEERTZ: *After the Fact: Two Countries, Four Decades, One Anthropologist*. Harvard 1995. Polski przekład: *Po fakcie. Dwa kraje, cztery dekady, jeden antropolog*. Przeł. T. TESZNAK. Kraków 2010; C. GEERTZ: *Works and Lives: The Anthropologist as Author*. Stanford 1988. Polski przekład: *Dzieło i życie. Antropolog jako autor*. Przeł. E. DZURAK, S. SIKORA. Warszawa 2000.

16 A. ZAGAJEWSKI: *Prawda*. W: IDEM: *Komunikat*. Kraków 1972, s. 58.

Michał Noszczyk

**Alexander Bell's Invention and Me:
On What Repeats Itself and What Has Changed**

Summary

The text is a result of adjusting to elementary standards of a scientific discourse of the author's speech during the 7th National Memetic Scientific Workshop, which took place in Szczyrk on March 8th – 10th, 2012, with the motto *Powtarzalność i zmienność w kulturze i naturze* [*Repetition and Changeability in Culture and Nature*]. The author (in accordance with the title) attempts to relate his use of a telephone (including cellphones) throughout his life and how a telephone has been used and worn out. In an obvious manner, Michał Noszczyk refers a few lines of thinking ("what isn't new"), most often recalling the name of Clifford Geertz. It is a deliberate (albeit innocent) provocation.

Michał Noszczyk

**Moi et la découverte d'Alexander Bell
Sur ce qui revient et sur ce qui change**

Résumé

Le texte est le résultat d'une démarche cherchant à adapter la communication présentée par l'auteur lors de la VIIe édition des Rencontres scientifiques de Mémétique en Pologne (VII Ogólnopolskie Memetyczne Warsztaty Naukowe) aux normes du discours scientifique. Le sujet des Rencontres scientifiques qui ont eu lieu à Szczyrk, du 8 au 10 mars 2012, était *Powtarzalność i zmienność w kulturze i naturze* [*La répétitivité et l'inconstance dans la culture et dans la nature*]. Comme il le précise dans le titre, l'auteur essaie de rendre compte de l'emploi des appareils téléphoniques (fixe et portable) dans sa vie, et de montrer, par la suite, comment il a été « épuisé » par le téléphone. De façon explicite, Michał Noszczyk se réfère à quelques réflexions (« à ce qui n'est pas nouveau »), tout en évoquant très souvent le nom de Clifford Geertz ; c'est une provocation voulue (quoique innocente).